

Smoleńsk – czyli niebezpieczeństwo!

Natychmiastowe zwolnienie z pracy w dzienniku „Rzeczpospolita” redaktorów Cezarego Gmyza, Bartosza Marczuka, Mariusza Staniszewskiego i Tomasza Wróblewskiego jest dowodem, kolejnym zresztą, na dalsze ograniczanie wolności słowa, a tym samym demokracji w Polsce.

Dziennikarz śledczy Cezary Gmyz ujawnił informację o odnalezieniu przez polskich śledczych śladów obecności trotylu we wraku tupolewa, przetrzymywanego przez Rosjan na lotnisku w Smoleńsku. Informacji tej zaprzeczyła prokuratura wojskowa na specjalnie zwołanej konferencji prasowej. Szef Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Warszawie płk Ireneusz Szelağ powiedział, że nie stwierdzono obecności we wraku tupolewa trotylu ani żadnego innego materiału wybuchowego, nie stwierdzono, dodał, co nie znaczy, że go nie było, bowiem, jak tłumaczył, dopiero badania laboratoryjne mogą być podstawą do stwierdzenia istnienia bądź nieistnienia materiałów wybuchowych na pokładzie samolotu. Mimo dwuznacznej, a raczej pokrętej formy tej wypowiedzi, władza mogła tryumfalnie ogłosić w zaprzyjaźnionych mediach, cytując słowa prokuratora o braku śladów materiałów wybuchowych, że do żadnej eksplozji samolotu Tu-154M nie doszło, zatem „Rzeczpospolita” w artykule Cezarego Gmyza „Trotyl we wraku tupolewa” napisała nieprawdę. Skoro tak, to przystąpiono do czystek w redakcji, mimo podjętej przez redaktora naczelnego Tomasza Wróblewskiego, wbrew woli autora artykułu, próby sprostowania informacji, a

nawet przeprosin czytelników. Nic to jednak nie dało. Nie zamierzano czekać do zakończenia zapowiadanej za pół roku analizy próbek, która by potwierdziła, m. in. i to czy Cezary Gmyz napisał prawdę, czy kłamał. Wyrok zapadał więc w chwili, gdy dziennikarze „Rzeczpospolitej” postanowili upublicznić szczegóły badań prowadzonych przez polskich specjalistów w Smoleńsku, gdy zdecydowali się ujawnić tajemnicę śledztwa. A jak wiadomo, nie ma w Polsce bardziej chronionej tajemnicą śledztwa, jak „śledztwo smoleńskie”. Tak samo zareagował rzecznik rządu Paweł Graś mówiąc o „wycieku informacji”. Czyli ktoś bezczelnie śmiał ukraść informację, która nie miała prawa do niego należeć i jeszcze ujawnił ją społeczeństwu. I znowu namnożył wątpliwości na temat przyczyn „katastrofy smoleńskiej”, która przecież w wersji o zamachu już dawno została odrzucona i nie powinna nas ponownie niepokoić. Oświadczenie Zarządu Głównego SDP uznaje działania podjęte przez Radę Nadzorczą i właściciela wydawnictwa „Presspublica” wobec Cezarego Gmyza za „naruszenie obowiązujących w wolnych i niezależnych mediach zasad postępowania wobec dziennikarzy śledczych”. Chodzi tu o kardynalną zasadę, w myśl której dziennikarz, w poczuciu dążenia do poznania prawdy, jest zobowiązany ujawniać informacje, także te, które są ukrywane przez władzę i jej służby. SDP uznaje też, „jako niedopuszczalną”, próbę wymuszenia na dziennikarzu „Rzeczpospolitej” ujawnienia jego informatorów. Jak mówił

Cezary Gmyz, informacje, które złożyły się na jego artykuł, uzyskał aż z czterech niezależnych od siebie źródeł.

W podobnym do ZG SDP tonie wypowiada się Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP. Przy okazji dowiadujemy się, że zwolniony z pracy redaktor Bartosz Marczuk w czasie, gdy opublikowano artykuł Cezarego Gmyza, był na urlopie. Oświadczenie CMWP SDP wyraża także „oburzenie brakiem solidarności” dużej części środowiska dziennikarskiego ze zwolnionymi z pracy redaktorami. To niestety bardzo smutny fakt, potwierdzający fatalną kondycję moralną ludzi pracujących dziś w mediach. Jest oczywiste, że nie bronią Cezarego Gmyza, a wręcz potępiają go ci, którzy tworzyli i rozpowszechniali liczne kłamstwa w sprawie „smoleńskiego śledztwa”. Ale dlaczego inni, uczciwi dziennikarze, nie wykazują chęci obrony niesłusznie zwolnionych z pracy kolegów? Czyżby już pojawił się, jak za komuny, najgorszy z dziennikarskich doradców, czyli strach przed władzą, wydawcą, właścicielami? Wszystko wskazuje na to, że tak się właśnie dzieje.

Władza absolutna, jaką sprawuje w Polsce obóz liberalno-postkomunistyczny, panująca nad olbrzymią większością mediów, uczyniła ze „śledztwa smoleńskiego” swoistą nową „rację stanu”. Za komuny był nią świecki dogmat o wiecznym socjalizmie w wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Dziś bezwarunkową i nieomylną ma być „arcybolesna prawda” o tym, co wydarzyło się w Smoleńsku, ustalona zgodnie przez komisję Jerzego Millera i rosyjski MAK. Zwolennicy tej „prawdy” nie

mogąc udowodnić nam, że do eksplozji i zamachu na polski samolot z prezydentem na pokładzie nie doszło, a równocześnie odstraszać nas od szukania potwierdzenia takiego scenariusza, pogłębiają tylko wątpliwości co do wiarygodności prowadzonego przez prokuraturę „śledztwa smoleńskiego”.

Szykany wobec dziennikarzy tylko zwiększają rosnący brak zaufania do władzy oraz do tzw. niezależnej prokuratury; zachowują się one bowiem tak jakby chciały ukryć najtrudniejsze fakty, a przy okazji zastraszyć środowisko dziennikarskie, aby poważnie i samodzielnie nie zajmowało się „śledztwem smoleńskim”. Poszedł mocny, czytelny sygnał, nie tylko do dziennikarzy; uważajcie, „śledztwo smoleńskie” - niebezpieczny temat, lepiej się tym mnie zajmować, można stracić pracę, a może nawet coś więcej.

Świadoma taktycznie i pokrętna wypowiedź prokuratora Ireneusza Szelağa, poprzedzona dodatkowo równie przewrotnymi słowami, że pragnie uspokoić opinię publiczną, tym co za chwilę powie, w normalnym, demokratycznym kraju, byłaby raczej dowodem na potwierdzenie obecności materiałów wybuchowych we wraku tupolewa, a nie zaprzeczeniem tego faktu. A już na pewno nie stałaby się pretekstem do czystek personalnych wśród poważnych i odważnych dziennikarzy wykonujących solidnie swoją pracę.

Demokracja kończy się całkowicie, gdy władza chwyta za twarz wolnych duchem dziennikarzy, a towarzyszy temu rehot dziennikarskich sprzedawczyków nabijających się ze zwolenników „spiskowych teorii”.

Wojciech Reszczyński

309Nasz Dziennik 08.11.12